

BRONISŁAW ŁAGOWSKI

FAŁSZYWA HISTORIA,
BŁĘDNA POLITYKA



BRONISŁAW ŁAGOWSKI

FAŁSZYWA HISTORIA, BŁĘDNA POLITYKA

Fundacja Oratio Recta
Warszawa 2017

[Kup książkę](#)

Projekt okładki:

Iza Mierzejewska

Redaktor prowadzący:

Paweł Dybicz

Korekta:

Agata Gogołkiewicz

Opracowanie graficzne i łamanie:

Dorota Markowska-Burbelka

Okładka: Piotr Michałowski „Kardynał”

ISBN 978-83-64407-16-1

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Wydawca:

Fundacja Oratio Recta

ul. Inżynierska 3 lok. 7

03-410 Warszawa

www.tygodnikprzeglad.pl

e-mail: przeglad@tygodnikprzeglad.pl

Druk i oprawa:

Relex s.c., ul. Borsucza 13, 02-213 Warszawa

(22) 824 00 96, e-mail: relex1993@gmail.com

Spis treści

Przedmowa	9
Generał i dysydent	11
Moralna maczuga	14
O pamięci	18
Pamiętniki Ronikiera	22
Dobry człowiek na złej posadzie	26
Akcja „Wisła” była słuszna	30
Zakłamanie	34
Wojna czysta	38
Korzystam z okazji, by nie mieć zdania	42
Rewizjonizm literacki	46
Władza sykofantów	50
Lewica – słowa i rzeczy	54
Drugi koniec wojny światowej	58
Daleko, dawno i nieprawda	64
52 procent Ukrainy	68
Co wyrosło pod Okrągłym Stołem	72
Wnioski	76
Entuzjazm psucia	81
Brudna rewolucja	84
Ciemności europejskie	88
Fałszywe nazwy ulic	92
Patriotyczne branie za twarz	95
Niebezpieczne fikcje	99
Półprawdy, ćwierćprawdy	103
Kłębowski zmij	106
Rządzenie szantażem	109
Od heroizmu do bandytyzmu	112
Samozatrucie	117
Kołąkowski w telewizji	121

Odbywa się osobliwy sąd	125
Krokiem spacerowym w stronę wojny	130
Eksportujemy mit najlepszej jakości	134
Święto kłamstwa	138
Klerk, który „zdradził” i przeprosił	141
Klamra Zdrojewskiego	145
Oczy na wschód, na zachód marsz	149
Warszawa rozstawia pionki	153
Rozum czysty i niepraktyczny	157
Bohaterskie państwo kwitnie	161
Polska na fundamencie mitu	165
Historia alternatywna	169
Wschodni balast	173
Ten „naiwny” Tuwim	177
Fakty charakterystyczne	181
Dlaczego byli wyklęci?	185
Inspirujący Talleyrand	191
Świadectwo Stefana Morawskiego	195
Samozatrucie solidarnych	200
Poetka z trzeźwym rozumem	204
Nie wszystko widać jak na dłoni	208
Słońce na północy	212
„Ty mów ciągle, że tęsknota, ja będę pilnował złota” (Gałczyński)	216
Jeszcze o lewicy	220
Bieżąca postpolityka	224
Amerykańskie ukąszenie heglowskie	227
Półprywatny list do Józefa Hena	230
Literacka polityka	233
Wieszcz Trzeciej RP	237
Reformy czy rozrywki?	241
Niegdyśjsze zemsty, dziśjsze półprawdy	244

Niedyskrecje listowe	247
Kość w gardle	253
Karski widział jasno	257
Prezydent na uchodźstwie, czyli coś z niczego	260
Co z nami będzie?	263
Zmyślenia i prawdy	267
Co odsłania upływ czasu	271
Poza głównym nurtem	275
Wstydu nie mają	279
Pomnik, którego nie ma, pomniki, które są	282
Teoria i praktyka wojny	286
Brzydota rewolucji	290
Misja na Zachodzie	294
Polska misja na Wschodzie	297
Zgoda między swymi	302
Zemsta sądowa	305
Rzeczy smutne	308
Sen o potędze	313
Orientacja wschodnia rządu PiS	316
„Precz z komuną”	319

Przedmowa

Ta książka składa się z tekstów publikowanych w tygodniku „Przegląd” w ciągu ponad dwóch dekad. Wybrane zostały spośród więcej niż tysiąca esejów, felietonów, szkiców i not. O czymkolwiek pisałem, miałem zawsze na uwadze ideologię, jaką przyjęło postsolidarnościowe państwo, ową „politykę historyczną”, jaką głoszą następujące po sobie rządy i jaką wmawiają ludziom państwowe, kościelne i prywatne media oraz instytucje edukacyjne. Ta ideologia, w przeciwieństwie do panującego poprzednio marksizmu, nie ma formy doktrynalnej. Przemawia obrazami historycznych i współczesnych wydarzeń, tej niemal fabularnej formie zawdzięcza szeroką popularność. W społeczeństwie o tak niepewnej kulturze politycznej jak nasza anegdota czy melodramat zawsze wezmą górę nad poglądem wyrażonym dyskursywnie, choćby ten był kwintesencją historycznego doświadczenia czy ogólnoludzkiej mądrości.

Ta ideologia, ta „polityka historyczna” naucza, że najchlubniejszymi kartami polskiej historii są przegrane powstania narodowe, a spośród nich przedmiotem najwyższego, niemal religijnego kultu jest powstanie warszawskie. Na wzorze klęski oparte jest wychowanie patriotyczne, a co jest jeszcze bardziej przerażające, to wpływ tego wzoru na politykę bezpieczeństwa narodowego polskich rządów.

Obóz solidarnościowy, który przejął władzę drogą negocjacji i bez jednego wystrzału, ma kompleks niepełnej wartości i praktykuje heroizm zastępczy. Utrzymuje w kraju nastroj nieustającego zwalczania postkomunizmu, totalitaryzmu, sowieckiej okupacji, jednym słowem, zwalcza wroga, którego nie ma. Dlatego mówię, że Polska jest państwem stanu powstańczego.

Głównym wrogiem pozostaje Polska Rzeczpospolita Ludowa. Kto był w tym państwie oficerem, dyplomata, funkcjonariuszem służb specjalnych, żołnierzem strzegącym granic, milicjantem czy dyrektorem, jest podejrzany i ma być w taki lub inny sposób ukarany. Kto ryzykował jako tajny agent państwa polskiego, został lub zostanie zdradzony.

Zmiana ustroju polegająca na odrzuceniu komunizmu w gospodarce przyniosła, jak było do przewidzenia, wielkie korzyści w postaci wzrostu konsumpcji, łatwości nabywania towarów, unowocześnienia środków komunikacji, powszechnej dostępności samochodów, wprowadzenia wymienialnego pieniądza i, najogólniej mówiąc, znacznego polepszenia jakości życia. Mimo olbrzymich błędów, jakie w trakcie transformacji i potem popełnili politycy, o czym w przyszłości będzie się dużo pisać, sukces gospodarczy jest ewidentny, bezsporny, odnotowany przez statystyków i widoczny dla przeciętnego człowieka. Twórcą tego sukcesu jest *homo oeconomicus*, wyzwolony przedsiębiorca, producent dóbr o żywotnym znaczeniu czy człowiek tej ruchliwej klasy pośredniczącej między wytwórcami i nabywcami. Równolegle z tym jak *homo oeconomicus* pomnaża w narodzie sumę zadowolenia, polski *homo politicus*, jego wieczny rywal, a niekiedy podstępny nieprzyjaciół i wyzyskiwacz, marnotrawi dużą część rezultatów ludzkiego trudu. Występuje on dziś pod flagą liberalnej albo innej demokracji i ogranicza ludziom pracy wolność na swój sposób, stawiając przed nimi coraz to nowe przeszkody, narzucając irracjonalne obowiązki i poddając obywateli pedagogicznej obróbce, aby uczynić z nich morowych powstańców.

Generał i dysydent

W Polsce żadnego posądzenia nie można udowodnić, obalić ani wyjaśnić. Jeden prokurator sprawę umarza, drugi ją znowu wszczyna, a gdy z braku podstaw do oskarżenia ponownie ją umarza, znajdzie się trzeci, który na polecenie kół miarodajnych może zacząć wszystko od początku. Dla dziennikarzy umorzenie sprawy jest prawie dowodem winy, bo w takim wypadku nie dochodzi przecież do oczyszczenia posądzonego z zarzutów przez niezawisły sąd. Dokumenty już ocenione jako niewiarygodne lub nic niewnoszące mogą po przerwie znowu być wyciągnięte i przedstawione jako niezbite dowody. Materiały z archiwum radzieckiego politbiura, które Jelcyn parę lat temu z wielką paradą przywiózł w podarunku dla Wałęsy i które już zostały rozpoznane jako niewiarygodne, teraz znowu przedstawił dysydent Bukowski. Mają one świadczyć, że gen. Jaruzelski prosił Breżniewa o interwencję zbrojną, a Breżniew odmówił. Gdy udało się wreszcie Bukowskiego poinformować, że w tej sprawie w jego książce nie znajduje się nic, o czym już wcześniej byśmy nie wiedzieli i nie wątpili, on się wzmógł na taki koncept, że ściągnął faksem z Anglii ten dokument, z którego przepisywał do książki. Ponieważ jedno z drugim oczywiście się pokrywało, my mamy z tego wyciągnąć wniosek, że gen. Jaruzelski prosił o interwencję. Logika jak ze szpitala wariatów. Gdy jeden fałsz jest całkowicie zgodny z drugim fałszem, mamy widzieć w tym wystarczający dowód prawdy. Niedowierzącym Bukowski tak odpowiedział: „Nie wierzycie mnie, to uwierzcie marszałkowi Kulikowowi, on mówi to samo”. To prawda, że marszałek Kulikow mówi to samo, ale komu przyszłoby do głowy, że czołowy dysydent będzie szukał uwiarygodnienia swoich opinii w oświadczeniach radzieckiego marszałka?

Zarzut, że gen. Jaruzelski wykręcał się od wprowadzenia stanu wojennego i chciał się posłużyć Breżniewem, jest nagłaśniany teraz, gdy okazało się, że oskarżenia o wprowadzenie stanu wojennego nie tylko nie odbierają generałowi prestiżu, ale przeciwnie, sprawiają, że jawi się on coraz wyraźniej jako silny człowiek polskiej polityki. U nas zawsze brakowało mężów stanu zdolnych do podjęcia decyzji niepopularnych, trudno więc nie czuć respektu dla kogoś, kto się takim wydaje. Dowódcy armii nie może uwłaczać zarzut, że wprowadził stan wojenny. Wojsko nie służy ani do mediacji, ani do partycypacji, ani do koncyliacji, lecz wyłącznie do walki z wrogiem zewnętrznym (którego sobie nie wybiera) oraz do przywracania porządku państwowego, gdy zostanie on zagrożony przez wewnętrzną anarchię, co właściwie miało miejsce w Polsce w 1981 r. Ocena istniejącego porządku nie należy do wojska, podobnie jak spekulowanie na temat, jakie dobre skutki może przynieść w przyszłości aktualna anarchia. Honor generałów zależy od tego, czy wypełniają funkcje, do jakich zostali powołani. Nie są to funkcje ani polityczne, ani ideologiczne i nawet w komunizmie polityzacja i ideologizacja wojska były powierzchowne, nie zmieniały istoty rzeczy. Jeśli stan wojenny się nie uda lub gdy za szybko się skończy, generałowie mogą pójść do więzienia, ale honoru nie tracą, o ile byli wierni swoim zobowiązaniom. Generał Videla, skądinąd żarliwy katolik, był szanowany w więzieniu, jest szanowany na wolności i sam siebie szanuje.

Wierność przyjętym zobowiązaniom jest cnotą etyczną, a etyka ma prymat w stosunku do polityki. Z etycznego punktu widzenia przynależność do takiej czy innej partii, posiadanie takich czy innych poglądów ideologicznych, jest sprawą drugorzędną. I nic na to nie mogą poradzić ani politycy, ani dziennikarze, ani księża, ponieważ taki jest właśnie obiektywny ład moralny, o którym czasem mówi premier Jerzy Buzek, najwidoczniej bez znajomości rzeczy.

Generał Jaruzelski broni się inteligentnie, ale moim zdaniem powinien raczej bronić się zasadniczo, to znaczy odwołując się do odwiecznej etyki wojskowej. Niech się nie wydaje różnym strajkownikom, kaznodziejom, literatom, studentom i profesorom, że tylko oni są w posiadaniu słusznych miar rzeczy ludzkich. Nie wiele też osiągnie, schodząc na poziom papierów archiwalnych, bo na każdy papier znajdzie się zawsze jakiś antypapier i dyskusja na tym gruncie prowadzi do wyników równie zwiewnych jak sam papier. Władimir Bukowski bezustannie zapewnia, że radzieckie archiwa zawierają bardzo wiarygodne materiały, ale chyba wyłącza on spod reguły dokumenty znajdujące się w archiwach KGB, podpisane przez uczonych z instytutu im. Serbskiego, w których się stwierdza, że Bukowski jest chory psychicznie. Na podstawie szeroko dostępnej wiedzy sowietologicznej można przypuszczać, że takich odstępstw od prawdy jest tam dużo więcej.

Co gen. Jaruzelski zrobił w zakresie swojego fachu wojskowego, było przemyślane, skuteczne i słuszne. Niestety, spadła na niego również rola polityka i z tej nie wywiązał się, jak należy. Wielkim jego błędem była inflacjonistyczna polityka gospodarcza prowadzona rzekomo dla dobra klasy robotniczej. Dała ona jakieś karykaturalne, groteskowe zakończenie gospodarce centralnie planowanej, i właśnie kolosalna, dzika inflacja, a nie propaganda solidarnościowa zdelegitymizowała ostatecznie system władzy w oczach większości społeczeństwa. Zresztą wiele można by mówić o błędach, każdy polityk i niepolityk je popełnia. Obawiam się, że wizerunek Jaruzelskiego jako silnego człowieka polskiej polityki nie wytrzyma próby bliższego zbadania przygotowań do Okrągłego Stołu, ale na szczęście dla niego nikt nie jest zainteresowany prawdą w tej sprawie, a już najmniej jego wrogowie.

01.04.1998 r.

Moralna maczuga

Nie interesuję się osobą prokuratora Andrzeja Kaucza i liczę na wzajemność. Gdy ten komentarz ukaże się drukiem, a więc za kilka dni, nikt już może nie będzie chciał słuchać o „sprawie Kaucza”. Jednakże pojęcia, wzory myślenia i rodzaje emocji, jakie się przy tej „sprawie” ujawniły, nie stracą znaczenia ani za kilka dni, ani za kilka lat. Prokurator oskarżał w procesach politycznych podczas stanu wojennego, wnioskował o dziesięć lat więzienia dla Władysława Frasyniuka i paru lat dla Barbary Labudy. Michnik nazwał go z tego powodu „niebezpiecznym draniem”. Barbara Labuda powiedziała w radiu, że „był naprawdę podły i nikczemny”. Nie zaprzeczyła jednak powszechnie znanemu faktowi, że sama była przeciwniczką ówczesnie panującego ustroju i że działała w celu jego obalenia. Pod pewnym względem był to taki ustrój, jaki najczęściej spotykamy w historii: obwarował się prawem zakazującym czynów prowadzących do jego obalenia. (Poza tym miał wiele cech dziwacznych, takich jak zakaz prywatnej produkcji i wymiany, co go różniło od wszystkich innych ustrojów). Według klasycznej typologii ustrojów politycznych była to tyrania, ale w stadium demokratyzowania się i liberalizacji, zachodzących żywiołowo, co groziło anarchią, a ta jest jeszcze gorsza od tyranii. Trzeba sobie przypomnieć, że ponad polską anarchizującą się tyranią stała większa, moskiewska tyrania. Święty Tomasz z Akwinu twierdzi w traktacie „De regno” (O władzy), że gdy tyrania nie jest przesadna (a Polska Gierka i Jaruzelskiego z pewnością nie była przesadną tyranią), słuszniej jest ją znosić, niż „działając przeciwko tyranii, ściągnąć wiele niebezpieczeństw cięższych od niej samej”. Obalenie tyranii nie rozpoczyna przecież ery powszechnej szczęśliwości, lecz tylko zmianę jednych utrapień na drugie, „często wynikają stąd

ciężkie niezgody wśród ludu, zarówno w trakcie walki przeciw tyranowi, jak po jego obaleniu, kiedy społeczeństwo dzieli się na partie kłócące się w sprawie ustalenia [nowego] ustroju”. Dalej św. Tomasz przestrzega przed tymi, którzy w swoim buncie „kierują się prywatnym mniemaniem”. Dodaje, że często na niebezpieczeństwo związane z walką przeciw tyranii „wystawiają się źli, a nie dobrzy” ludzie, i powołuje się na króla Salomona, który powiedział, że „mądry król rozprasza [takich] niegodziwców”. Święty Tomasz jest największym autorytetem intelektualnym w Kościele katolickim. Wrocławski prokurator z okresu stanu szumnie zwanego wojennym działał nie tylko zgodnie z obowiązującym go prawem (niektórzy korzystając z rozkładu państwa, pozwalali sobie je lekceważyć), ale również w duchu nauki św. Tomasza. Dziwią mnie osoby, które chwalcąc się, że przekraczały obowiązujące prawo, lamentują jednocześnie, że chciano je za to ukarać, czy też ukarano. Ustrój zbudowany na kłamstwie i zbrodni chcieliby ot tak sobie obalić kopniakiem zgrabnej nóżki, nie ponosząc żadnych ofiar.

Każdy oskarżony uważa siebie jeśli nie za niewinnego, to przynajmniej za zasługującego na uniewinnienie, prokurator zaś, który nie uniewinnia, to podły, nikczemny drań. Barbara Labuda nie zadała sobie trudu poszukania przymiotników przylegających do rzeczy, nie rozróżniała, nie uwzględniała racji lub przynajmniej punktu widzenia drugiej strony. Uderzyła moralnościową maczugą: „podły”, „nikczemny”. Widzę w tym moralność urobioną w małej grupie kontestatorów, przebywających tylko z takimi jak oni sami, których nic nie zmusza do obiektywizmu i liczenia się ze słowami. Nie rozróżniają stopni i odcieni dobra i zła, a są one nieprzeliczone. To, co ich tylko drażni, przeżywają tak jak to, co ich słusznie oburza, przykrości i cierpienia mają dla nich równą wagę. Uprawiają estetykę kontestacji i nikt nie potrafi ani od razu, ani po latach uprzytomnić

im, że istnieje jeszcze coś ważniejszego: etyka polityki, choćby taka, jaką reprezentował wyżej cytowany autorytet.

Solidarnościowe zubożenie sfery wartości i zredukowanie wszystkich kryteriów do kryteriów politycznych powoduje, że tym samym tonem i tymi samymi słowami piętnuje się planowy terror stalinowski i przypadkowe w końcu, bo sprzeczne z założeniami stanu wojennego zastrzelenie dziewięciu górników; radomskie „ścieżki zdrowia” i morderstwa w Jedwabnem. Nikt już niczego na serio nie ocenia, panuje moralna lekomyślność. Jeżeli prokuratorska surowość, dyspozycyjność, a niechby nawet i niesprawiedliwość jest „podła” i „nikczemna”, to jakimi słowami określić postępowanie rzeczywiście podłe i nikczemne? Hiperpodłe, superarcynikczemne? Zepsuliście język, panowie i panie. Nadużywacie hiperboli. Jak mam wyrazić swoją opinię o prokuratorze Zarakowskim (procesy czasów bierutowskich) albo o prokuratorze Wyszyńskim (procesy moskiewskie): podli i nikczemni jak prokurator Kaucz?

Szczyt wielkoduszności, na jaki wspinają się solidarnościowcy (i na to stać niewielu), to przyznanie innym „prawa do zmiany poglądów”. Sami jakoś nie kwapią się do skorzystania z tego prawa, mimo że wszystko poszło inaczej, niż obiecywali masom, gdy były im one potrzebne. Prokurator, któremu zarzuca się dyspozycyjność w dawnym ustroju i daje „prawo do zmiany poglądów” w nowym, znajduje się w sytuacji bez wyjścia, bo podporządkowanie się temu „prawu” jest niczym innym niż dyspozycyjnością w nowym ustroju. Zaprzaństwo zostało podniesione do wysokości jakiejś cnoty moralnej, a dla wysokich urzędników państwowych stało się obowiązkiem. Dlaczego pod prawo do zmiany poglądów nie podciąga się wodzów „Solidarności”, którzy co innego głosili, gdy walczyli o władzę (głosili głupstwa), a co innego robili, gdy kraj opanowali (spowodowali wiele niepowetowanych szkód).

Wielu działaczy „Solidarności” nigdy nie znalazłoby się na stanowiskach poselskich, senatorskich, ministerialnych, gdyby nie byli internowani, oskarżani przez prokuratorów. I mimo że zostali wynagrodzeni tak sownie, jak im się to nawet przedtem nie śniło, ciągle, po dwunastu latach życia z przywileju, przemawiają jak ludzie ciężko skrzywdzeni, posiadający niewygasające prawo do zemsty i odwetu nad tamtymi, którzy przegrali.

12.11.2001 r.

O pamięci

Upamiętnianie przeszłości jest jedną z najważniejszych funkcji kultury. Zarówno kultura tradycyjna, jak ta w swych ambicjach nowatorska określa się w stosunku do przeszłości. Wszystko, co mówią o doniosłości pamięci w życiu społecznym, jest prawdą. Najwyżej stoją te społeczeństwa, które mają dobrą pamięć o swojej przeszłości, potrafią korzystać z przebytych doświadczeń. Człowiek nie może zrobić się mądrym w ciągu jednego tygodnia, naród nie może wznieść się na poziom cywilizowanej polityki w ciągu jednego dziesięciolecia. Hasło „wybierzmy przyszłość” może być dobre na jedną kampanię wyborczą, nie jest to dewiza, którą należałoby przeciwstawić pamięci. Gdy Ernest Renan mówił, że naród istnieje nie tylko dzięki pamięci, ale także dzięki zapominaniu (wojen domowych, terroru rewolucyjnego, prześladowań religijnych, krzywd klasowych), to myślał o puszczaniu w niepamięć, co nie jest tym samym, co zapominanie.

Polska przeszłość jest zafałszowana, a mówiąc dokładniej, cynicznie załgana z powodów politycznych. Narody toczące wojny, narody ujarzmione, zniewolone, mitologizują swoją przeszłość „ku pokrzepieniu serc”, pomniejszają swoje błędy i wady, przydają sobie rysy szlachetnych wojowników o świętą sprawę. Takiemu fałszowi służyła też polska historiografia okresu zaborów. Krakowscy historycy, którzy się temu przeciwstawiali, zdobyli 30 procent rządu dusz na bardzo krótki okres, dopóki utrzymywała się żywa pamięć tej bezprzykładnej kompromitacji narodowej, jaką było powstanie styczniowe 1863 r.

Obecnie najbardziej jest nam potrzebna prawda o okresie od totalnej klęski roku 1939 do upadku systemu radzieckiego. I ten właśnie okres jest zakłamywany z takim uporem

i z takim entuzjazmem bojowym, jak gdybyśmy nadal znajdowali się w niewoli i musieli pobudzać się do waleczności, nie pozwalając wygasnąć uczuciom agresji. Każdy widzi, że wylęgarnią tych fałszów są środowiska związane z „Solidarnością” i post-„Solidarnością”.

„Przegraliśmy bitwę o pamięć” – głosi tytuł wywiadu z Janem Lityńskim, liderem Unii Wolności („Tygodnik Powszechny”). Słowo „pamięć” w tym przypadku oznacza solidarnościową wersję historii powojennej Polski, a zwłaszcza lat 80. Nie wiem, z kim toczyli tę bitwę, bo drugiej strony walczącej o pamięć nie było widać. Autorów, którzy im się publicznie przeciwstawiali (z wielkim zresztą umiarkowaniem, samoograniczeniem), można policzyć na palcach jednej ręki. W medium o największym zasięgu, w telewizji publicznej i prywatnej, niepodzielnie panuje „pamięć” solidarnościowa. Jedynym autorytetem ustalającym ortodoksję tej pamięci na użytek telewizji jest prof. Paczkowski. Dawna partyjna profesura ze specjalizacją historyczną i socjologiczną gdzieś się zapodziała, nie wiadomo, czy jej przedstawiciele nie są do mediów dopuszczani, czy zdążyli już przyswoić sobie pamięć posła Lityńskiego, czy może obrazili się na nowe czasy („ani be, ani me, bo ja jestem *déclassé*”, jak pisał autor „Zielonej Gęsi”). To samo, co w głównych mediach, lecz w wersji emocjonalnie podniosłej, a treściowo bardziej prymitywnej i fałszywej, głosi się sprzed ołtarzy. Szkoła już od dziecięciu lat indoktrynuje dzieci w duchu pamięci solidarnościowej. Tak nachalnej propagandy politycznej pod pozorem uczenia historii nie było w szkołach od czasów stalinowskich. I mimo to „przegraliśmy bitwę o pamięć”? Kto jest tym wrednym przeciwnikiem, który odbiera wiarygodność naszej pamięci? Jest to ten sam przeciwnik, z którym wcześniej przegrała pamięć komunistyczna: zdrowy rozum zwykłych ludzi. Ich własna, niezafałszowana pamięć bez cudzysłowu.

Były poseł Lityński przesadza, mówiąc o przegraniu bitwy o pamięć. Swoją pamięć zachowali ludzie żyjący z własnej pracy. Jeśli zaś chodzi o ludzi działających na arenie publicznej, potrzebujących określonego wizerunku medialnego, to z nimi „Solidarność” wygrała bitwę o pamięć. Po zaznajomieniu się z przemówieniem prezydenta w Instytucie Pamięci Narodowej Jan Lityński przekonał się chyba, że jego przegrana w bitwie o pamięć nie jest tak totalna, jak mu się przedtem zdawało.

Wielu spośród tych, którzy wprowadzali w Polsce komunizm, przeszło przemianę moralną i stali się oni mądrymi sceptykami i relatywistami. Ci natomiast, którzy zostali wychowani w duchu komunistycznym, ale opozycję uprawiać zaczęli, gdy realny socjalizm się zliberalizował, zachowali najgorszą cechę mentalności komunistycznej: wymaganie, aby inni wierzyli w to, w co oni wierzą. Gdy ci inni nie chcieli jednak wierzyć w to, co trzeba, postanowili „urządzić się w ten sposób, aby wlać im tę wiarę przemocą”, jak uczył Machiavelli. Do tego celu został powołany Instytut Pamięci Narodowej, ze swoimi pionami indoktrynacyjnym i prokuratorskim. Lityński alarmuje, że gen. Jaruzelski „mówi o Grudniu 1970, o mordowaniu robotników takie rzeczy, które na mocy ustawy o IPN są przestępstwem. Jaruzelski zaprzecza bowiem zbrodniom totalitarnym”. Generał Jaruzelski ustąpił na rzecz „pamięci” solidarnościowej tyle, ile jego zdaniem, trzeba było dla osiągnięcia zgody narodowej. Okazuje się, że tego za mało. IPN ma ścigać ludzi, którzy zaprzeczają „zbrodniom komunistycznym” (*Lingua Tertii Republicae*). Gdzie i kiedy Jaruzelski zaprzeczył tym zbrodniom? Czy na mocy ustawy o IPN ma się przyznać do wydania rozkazu strzelania do robotników, czego nie popełnił, a co mu przypisuje pamięć solidarnościowa? Czy nie wolno na mocy ustawy o IPN stwierdzić oczywistego faktu, że w rozruchach w Gdańsku brali również udział chuligani i pospolici przestępcy? Czy jest w ogóle

do pomyślenia, aby w rozruchach takich rozmiarów elementy przestępcze nie uczestniczyły? Nawet podczas pokojowych manifestacji pacyfistów rabuje się sklepy i podpala samochody. Żeby o tym zapomnieć, nie wystarczy ustawa o Instytucie Pamięci Narodowej, potrzebna byłaby amputacja szarych komórek albo epidemia choroby Alzheimera. Do zarzutu o popełnienie przestępstwa wysuniętego przez czołowego działacza Unii Wolności przeciw byłemu prezydentowi RP powinien ustosunkować się prezes IPN. Jeżeli Lityński ma rację, to ten IPN jest jakąś ponurą policją myśli, to jest gorsze od cenzury prewencyjnej, która również szkodziła, ale przynajmniej nie zagrażała bezpieczeństwu ocenzonego. IPN był zapowiadany jako polskie „centrum Wiesenthala”, na komunistów tym razem. Pojęcie „kłamstwa komunistycznego”, nadużywanie kategorii zbrodni przeciw ludzkości, znoszenie przedawnienia z byle powodu – wszystko to razem jest przedrzeźnianiem pamięci Holokaustu. Polska papuga tym razem wyraźnie przesadziła.

Chcieliśmy swoją solidarnościową pamięć upowszechniać po dobru, ale okazało się, że naród przyjmuje ją z oporami. Teraz panowie profesorowie i doktorzy z IPN będą naukowo ustalać, co było „zbrodnią komunistyczną”, a prokuratorzy z tegoż IPN oskarżą tych, którzy się z tymi naukowymi prawdami nie zechcą zgadzać. Takie praktyki w II Rzeczypospolitej oraz w PRL nazywano braniem za mordę. Proszę wynaleźć ładniejszą nazwę.

27.12.2001 r.

Pamiętniki Ronikiera

Wydane po raz pierwszy „Pamiętniki” Adama Ronikiera dają okazję do zastanowienia się nad strategią obronną społeczeństwa obywatelskiego w warunkach zniewolenia dokonywanego najokrutniejszymi środkami. Warto też skupić uwagę na osobie autora „Pamiętników”. Gdyby trzeba było wskazać osobę, która podczas wojny zrobiła dla Polaków najwięcej dobrego, moim nominatem byłby Adam Ronikier. Pewną rolę odegrał już podczas I wojny światowej. Należał do stronnictwa tak zwanych aktywistów, zwolenników orientacji proniemieckiej. Z ramienia Rady Regencyjnej, która była rządem polskim, chociaż zależnym od Niemców, sprawował przez kilka miesięcy urząd posła w Berlinie. Bardziej owocna okazała się jego działalność w organizacji charytatywnej, której był współzałożycielem i przewodniczącym, noszącej nazwę Rady Głównej Opiekuńczej. Po dwudziestu latach został, jak określił to jeden z jego współpracowników, „swoim własnym spadkobiercą”: znowu stanął na czele drugiej już Rady Głównej Opiekuńczej, zawiązanej za zgodą niemieckich władz okupacyjnych. Była to jedyna zalegalizowana polska organizacja społeczna w Generalnej Guberni. Celem RGO było niesienie pomocy materialnej ludziom najbardziej przez wojnę poszkodowanym; dostarczano żywności ludziom, którym groziła śmierć z głodu, w tym także więźniom, opiekowano się dziećmi osieroconymi i uwięzionymi w obozach. Odmian pomocy niesionej przez RGO nie sposób tu wyliczyć. Gdzie to było możliwe, RGO starała się łagodzić dzikość represji stosowanych przez okupantów. Sam Ronikier dzięki swojej pozycji osobistej przyczynił się do uwolnienia z więzień wielu osób, niektóre uratował od śmierci. Rada Główna Opiekuńcza działała na obszarze

całego Generalnego Gubernatorstwa, miała swoje oddziały wojewódzkie, powiatowe i wiele gminnych. Zatrudniała około 10 tysięcy personelu i oczywiście skupiała wokół siebie dziesiątki tysięcy wolontariuszy. Swoją opieką w niektórych latach obejmowała 2 miliony ludzi. Jak widać, Adam Ronikier nie tylko kierował organizacją charytatywną, ale faktycznie przewodził imponująco (jak na warunki okupacyjne) licznemu ruchowi społecznemu.

Starał się utrzymać Radę w granicach wyznaczonych przez władze okupacyjne, co nie było łatwe, choćby z powodu powszechnej skłonności do działań konspiracyjnych. Nie wyobrażamy sobie, że pracownicy i wolontariusze RGO posiadali gwarancje bezpieczeństwa w swojej legalnej działalności charytatywnej. Gdy Jan Zamoyski (wiadomość z innego źródła) udawał się do generała SS Globocnika, aby interweniować w sprawie więzionych dzieci z Zamojszczyzny, nie było pewności, że nie zostanie z miejsca odesłany do Oświęcimia czy rozstrzelany. Sam Ronikier znalazł się w końcu na jakiś czas w więzieniu gestapo.

„Pamiętniki” pozwalają bliżej poznać Adama Ronikiera. Bliżej, ale niezbyt blisko. Książka jest w znacznej części suchym sprawozdaniem z działalności organizacyjnej, swoją osobą autor zajmuje się mało, daje się poznać jedynie pośrednio, poprzez obiektywnie i sucho opisane czyny. Był to człowiek szlachetny, arystokrata nie tylko w socjologicznym, ale także etymologicznym sensie tego słowa, w każdej sytuacji odpowiedzialny, prawy, niezdolny do dużych czy małych makiawelizmów. Jak człowiek o takich cechach mógł działać i niemało osiągać w przymusowych kontaktach z hitlerowcami z różnych szczebli władzy, aż do gubernatora Franka – to temat dla autora powieści psychologicznej albo moralitetu. Nie nadawał się z pewnością na konspiratora. Jak sam wyznał, działalność niejawna była niezgodna

z jego naturą. Nie był też człowiekiem władzy, z czego już może sprawy sobie nie zdawał. Jego pomysły polityczne, wynikające między innymi z nieprzejednanej wrogości do bolszewizmu, na szczęście – jak wiele innych śmiałych koncepcji – okazały się krótkotrwałymi złudzeniami bez następstw.

Stosunki Ronikiera z Delegaturą rządu londyńskiego i z całą niemal polityczną Warszawą były złe. Znajdował się on cały czas pod podejrzeniem, że może chcieć tworzyć rząd kolaboracyjny. Więcej zaufania znajdował u Bora-Komorowskiego niż u polityków z Delegatury. Podejrzenia były nieuzasadnione, ale rozbieżności poglądów i postaw trzeba uznać za absolutnie fundamentalne. RGO miała za zadanie chronienie ludności polskiej przed najgorszymi skutkami wojny i okupacji (w żargonie ideologicznym nazywało się to chronieniem biologicznej substancji narodu). Tymczasem polskie „państwo podziemne” prowadziło walkę z wrogiem i przygotowywało się do przejęcia władzy po wojnie. Wzięta w swojej konkretnej rzeczywistości ta walka z wrogiem polegała głównie na małym sabotażu oraz zabijaniu osób posądzanych o donosicielstwo lub inną formę kolaboracji. Armia Krajowa według wszelkiego prawdopodobieństwa zabiła więcej Polaków niż Niemców. Osobno trzeba liczyć tych Polaków, których Niemcy zabili w akcjach odwetowych, kierując się barbarzyńską zasadą odpowiedzialności zbiorowej. „Państwo podziemne” było bezsilne wobec niemieckiej machiny wojny i terroru, jego aktywność nie dawała żadnych rezultatów, które można by uznać za korzystne dla Polski czy Polaków. Z wielokrotnością jedynie ofiary śmiertelne. Zwycięstwo może usprawiedliwić poniesione wielkie ofiary, a nawet wielkie popełnione zbrodnie. Ale zwycięstwa „państwo podziemne” nie odniosło. Trzeba się zgodzić z oboma Mackiewiczami (w tym punkcie się zgadzali), że było ono od początku oparte na iluzjach politycznych i moralnych. Ale właśnie ci, którzy

dogłębnie się mylili, uzurpowali sobie prawo do uznawania albo nieuznawania, usprawiedliwiania albo nieusprawiedliwiania tych, którzy – jak Rada Główna Opiekuńcza – robili rzeczy dobre.

Najbardziej wiekopomnym czynem „państwa podziemnego” było powstanie warszawskie. O tym powstaniu Ronikier pisze, że przewyższyło ono znane z historii akty bohaterstwa, „ale i zbrodnia popełniona przez tych, którzy do powstania dopuścili, a cóż dopiero wzięli na siebie danie rozkazu, by do niego przystąpić, przechodziła swą wielkością wszelkie dotychczasowe zbrodnie na żywym ciele Polski w ciągu jej dziejów dokonane”. Gdy się ta zbrodnia już dokonała, i tym, którzy byli jej sprawcami, i tym, którzy jej się sprzeciwiali, nie pozostało nic innego, jak odebrać realiom ich oczywisty sens i nadać im sens fałszywy, uwznioślający: „słyszało się głosy – pisze Ronikier – że jeżeli nie można naprawić już dokonanego zła, to przynajmniej należy się starać (...), by sumienie tego świata, tak mało wrażliwe na ponoszone ofiary, wreszcie się ocknęło”. Ale się nie ocknęło.

Dlaczego „państwo podziemne” ze wszystkimi dramataми i tragediami, jakie spowodowało, zajmuje wyobraźnię, przyciąga uwagę i jest uważane za wielkie wydarzenie w dziejach narodowych, podczas gdy Rada Główna Opiekuńcza, która zrobiła tyle dobrego, mało kogo interesuje? Nic na to nie poradzę, że prawdziwa odpowiedź będzie trywialna. Dużą część życia ludzie spędzają, oglądając na ekranach strzelaninę, bijatyki, ucieczki, pogonie, ukrywanie się i odkrywanie ukrytych, podczas gdy dziesięciu minut by nie usiedzieli, gdyby im pokazywano karmienie głodujących. „Państwo podziemne” było po prostu bardziej rozrywkowe niż RGO.

25.02.2002 r.

Dobry człowiek na złej posadzie

Prasa informuje, że „około 750 naukowców, duchownych, lekarzy, pisarzy, artystów, polityków, biznesmenów i dziennikarzy” ogłosiło list otwarty w obronie czci prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, profesora Leona Kieresa. W liście czytamy: „Wobec prezesa IPN (...) dopuszczono się insynuacji, nacechowanych nienawiścią do innych ras, narodów i wyznań”. Jak to zwykle bywa z tekstami pisanymi zespołowo, i ten nie jest zbyt jasny. Mniejsza o szczegóły. Profesor Kieres jest z całą pewnością porządnym człowiekiem i jeśli stała mu się krzywda, sygnatariusze listu otwartego słusznie postępują, biorąc go w obronę. Nie jest bowiem prawdą, że funkcjonariusze instytucji, które mają niegodziwe cele, sami muszą być niegodziwi. Na czele PRL-owskiej służby bezpieczeństwa przez pewien czas stał niezwykle uczciwy przedwojenny ideowy komunista, nazwiskiem Dworakowski, jeśli się nie mylę. Wskutek rozterki moralnej, a może stresu rozchorował się ciężko na tym stanowisku. Bynajmniej nie porównuję IPN do tamtej instytucji, ilustruję jedynie pogląd ogólny. Każdy zresztą może przytoczyć jakieś przykłady o podobnej wymowie. Osoby, które dużo przeszły podczas wojny, mówią, że nawet wśród oficerów SS trafiali się porządni ludzie. Szczególnie w czasach rewolucyjnych dobrym ludziom zdarzało się obejmować stanowiska, które potomność oceniła jako przestępcze. Iluż szlachetnych idealistów objęło kierownicze stanowiska w rozmaitych czerezwyczajkach! Owe czerezwyczajki właśnie dlatego, że były czymś nowym, nadzwyczajnym, nie odstręczały dobrych ludzi, dopiero z czasem okazywało się, czym są, ale wtedy już było za późno na takie obowiązkowe skądinąd subtelnosci jak odróżnianie dobrego prezesa od złej instytucji.

Instytut Pamięci Narodowej jest typową czerezwyczajką, powołaną do celu, jakiego nie można osiągnąć za pomocą działań zgodnych z panującym porządkiem prawnym. Najlepsi, najrozumniejsi prawnicy krytykowali projekt, dopóki nie został uchwalony przez Sejm, teraz opuścili ręce. Sądząc na podstawie listów otwartych, IPN najwięcej zwolenników ma wśród aktorek, aktorów, filmowców, poetów i poetek, księży i profesorów nauk humanistycznych. Co do kombatanów, ci są podzieleni.

Kieres był w Sejmie łajany za rolę swoją (i IPN) w sprawie Jedwabnego. Ale kto go łajał? Nikt inny jak ci, którzy już nieraz popisywali się swoim bezrozumem i byli najkrzykliwsi zwolennikami powołania tego nadzwyczajnego urzędu. IPN miał być namiastką, paliatywem niedającego się wprowadzić terroru antypostkomunistycznego. Swoimi procesami karnymi przeciw „komunistycznym zbrodniarzom” i nieustającym „rozliczaniem przeszłości” miał nękać i kompromitować lewicę. SLD jednakże (podobnie zresztą jak prezydent) okazał się wspaniale obojętny na taką czy inną interpretację przeszłości. Każdą przyjmie z tym samym uśmiechem wyrozumiałości. Postawa „ty se mów, a ja se zdrów” okazała się najodpowiedniejszym zachowaniem w tej sytuacji. Cały potężny pion prokuratorski IPN obrzydza życie (i może trochę skracca) pewnej liczbie starców, założonego przez ustawodawców celu politycznego nie osiąga. W sprawie Jedwabnego IPN razem ze swoim prezesem nie odegrali żadnej pozytywnej roli. Wydano masę pieniędzy na niepotrzebne podróże i niepotrzebną, słusznie przez rabinów kontestowaną ekshumację, która niczego nie rozstrzygnęła. Przystępowano do niej zresztą z założeniem, że w tym wypadku ustalanie liczby ofiar nie ma znaczenia. Wszystko, co istotne, powiedzieli historycy i na tej podstawie jedwabińska zbrodnia mogła się stać doniosłym

przeżyciem moralnym dla całego narodu, ale wmieszanie się IPN ze swoją nadzwyczajną prokuraturą i groźbą ponownego karania sprawców zmieniło nastawienie emocjonalne dużej części społeczeństwa. IPN jest winien spłycenia i zamęczenia wymowy tego strasznego odkrycia (bo dla ogółu ludności było to jednak odkrycie). Kto ogłasza, że będzie kara, nie może liczyć na to, że wstrząśnie sumieniami.

IPN przejął zadanie ścigania i karania zbrodni wojennych. Bierze na ten cel pieniądze. Ale gdzie pół wieku po wojnie znaleźć hitlerowskich zbrodniarzy? Na bezrybiu i rak ryba. Prokuratorzy IPN doprowadzili do skazania na osiem czy siedem lat więzienia Polaka, który jako 19-letni chłopiec został przez Niemców uwięziony w obozie koncentracyjnym. Gdy starci umierali z wycieńczenia, Niemcy posługiwali się młodym i zdrowym, zmuszając go do czynów niewątpliwie ohydnych. Ale jakiego oporu można spodziewać się po chłopcu oderwanym od wszelkiej wspólnoty, niemającym żadnego oparcia moralnego i w każdej chwili zagrożonego kulą w głowę. Skazywanie kogoś takiego na więzienie po 60 latach, na podstawie paragrafów ustanowionych z myślą o zbrodniarzach hitlerowskich jest wydarzeniem domagającym się protestu nie 750 sygnatariuszy, lecz 7 milionów. Nie ma ono nic wspólnego ani ze sprawiedliwością, ani z pamięcią narodową. Widać w nim tylko sadyzm moralistów. Podobną wymowę ma postępowanie w sprawie Szymona Morela, którego ekstradycji z Izraela znowu się żąda. O Morelu pisałem parę lat temu. Możliwe, że znęcał się nad więźniami, ale wówczas odwet był „prawem naturalnym”, naloty dywanowe burzyły, paliły Drezno wraz z jego cywilną ludnością i pół Europy radowało się z tego powodu. Od Morela, który jako Żyd miał powody do zemsty, żąda się retrospektywnie umiaru, opanowania, humanitaryzmu i innych cnót dla przeciętnego człowieka wówczas nieosiągalnych.

Z niebywałą lekkomyślnością kwalifikuje się złe czyny jako zbrodnie przeciw ludzkości. Za tym idzie równie lekkomyślne uchylanie przedawnienia. IPN został powołany w atmosferze anomii i sam tę anomię pogłębia i utrwała.

Nie wszystkie wiadomości o IPN są smutne. Są też rozweselające. „O wszczęciu śledztwa przez IPN Leon Kieres poinformował wczoraj w Gdyni – donosiła »Gazeta Wyborcza« rok temu. – Prokuratorzy Instytutu zbierają materiały, które mają pomóc rozstrzygnąć, czy legendarny kurier z Warszawy i współtwórca Radia Wolna Europa został zniesławiony...”.

11.03.2002 r.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki